

ZANG Robert

Wiedźmy

Tam gdzie kończą się światy, a zaczyna wielka pustka, na skraju koloru, przycupnęła para wiedźm. Ściągnęły swoje czarne kaptury, strzepnęły z lnianych worków, w które były odziane, resztkę głębokiego błękitu jakim mieniło się wieczorne niebo, po czym zabrały się za przyrządzanie specyficznego wywaru. Wywar ten o nazwie kwasadennha nie jest znany w tym świecie z kilku powodów. Nigdy też nie będzie dane nam poznanie przepisu na ten niecodzienny specyfik, choć skutki jego działania mogą dotyczyć nas bezpośrednio. Dotyczą dosyć często. Na czarnej trawie, obok położonego nieopodal źródła nocy, pojawia się wielki kocioł. W nim będą gotowały wiedźmy losy niektórych z was. Kogo? Tego mam nadzieję się dowiedzieć. A może znowu próbują zastawić pułapkę na moją osobę? Bardzo to nieładne z ich strony, ale jako istota obdarzona większą liczbą wymiarową muszę stwierdzić, że nie rozumiem tak wielkiego zainteresowania i zaangażowania tym pomysłem. Powinny doskonale zdawać sobie sprawę z nieskuteczności swoich działań. Magia? Owszem, istnieje, zgadza się, ale do większej magii potrzebna jest odpowiednia wymiarowość. Nie ma cudów, nikt nie wyskoczy ponad samego siebie, nikt nie może pokonać istoty większej niż on sam. Trzy jest zawsze mniejsze niż cztery, cztery niż pięć. Nie cieszę się wcale z tego powodu, ani nie smucę. Tak stworzony jest świat i nic na to nie poradzę. Wiedźmy widocznie myślą inaczej.

Próbowałem sobie to nawet wytłumaczyć epidemią, która ostatnio przeszła przez czwarty wymiar, ale nawet bardzo naginając teorię wyjątków nie mogę uznać tego za logiczne.

To już drugi raz, gdy chcą zwabić mnie, by wcisnąć do swojego świata, a same przenieść się o jeden stopień do góry. Po pierwsze nie są zdolne, aby wymyślić coś takiego, po drugie jest to nie możliwe dla nich do wykonania. Nie wiem, czy mam prawo je ukarać, czy po prostu ignorować te żalosne próby zaburzenia porządku. Mógłbym zwrócić się do wyższego, a on dalej, ale wiem, że gdzieś tam znajdzie się Osoba, która przerwie cały ten łańcuszek uznając go za małoważny i nie warty ingerencji. Tak więc nigdy się nie dowiem, czy moja samowola byłaby równie bezkarna jak ich. Sam jestem spokojnym pięciowymiarowcem, nie stwarzającym problemów swojemu N+1. Cóż, zawsze trafi się jakaś czarna owca. Przynajmniej tyle, że wiedźmy zawsze były nieznośne, taka ich natura. Jeśli jednak pozwolą sobie na zbyt wiele, doprowadzą mnie do pasji, nie będę przynajmniej miał skrupułów, by zrobić z nimi porządek.

Zastanawia mnie jedno. Podczas epidemii ingerowali wyżsi, czy nie wprowadziło to jakiegoś zachwiania, elementu niestabilności w strukturze? Czy nic nie przedostało się na niższe poziomy, lub na odwrót, z niższych do góry? Nic wielkiego nie mogło przebyć tej drogi bez skutków ubocznych, ale rzeczy małe, martwe, na przykład pamięć, urywki informacji? Mam dziwne przeczucie, że wiedźmy dowiedziały się, że jestem stworzony z ludzkich części, że takie mam pochodzenie. Zawsze nienawidziły tego gatunku, znęcały się nad nim od początku. Kiedy pierwszy raz spojrzałem na nie, właśnie obdzierały ze skóry jakiegoś biedaka. Później, gdy zacząłem interweniować, przestały i odsunęły się na setki lat. Wyniosły się tu, na skraj wszystkiego, by podróżując na ostatnich cząstkach w tę i z powrotem wypływać za obrzeża i pichcić te swoje zaklęcia. Czyżby według nich nadszedł czas zemsty? Czy są w stanie to zrobić? Nie sądzę. Warto jednak mieć je na oku, jeśli nie dobiorą się do mnie może znowu zaczną atakować ludzi. A przecież czasy się zmieniły, na Ziemi dziś już nikt nie wierzy w wiedźmy. Tak,

czy inaczej jestem tu i nie zamierzam pozwolić na jakiegokolwiek ekscesy. Nie wiedzą, że je obserwuję. Ślęczą we dwie nad tym kotłem wyjmując z obszernych kieszeni szczątki zwierząt, roślin, jakieś skrawki swojego wymiaru. (Swoją drogą to też mi się nie podoba. Muszę odciąć im możliwość przebywania na skraju - to jedyne miejsce, gdzie można naruszyć strukturę.) Wrzucają wszystko w ustalonej kolejności, mamrocząc przy tym starodawne słowa. Brzmi to bez ładu i składu, ale ma sens i często przynosi oczekiwane efekty. Wiedźmy poznają w ten sposób świat. Dostały przywilej dostępu do starych ksiąg, ale wydzierając je sobie nawzajem zaraz po inicjacji zniszczyły większość. Nigdy nie dostaną znowu całości, a to co zostało nie pozwala im na wiele. Są to głównie zaklęcia pierwszych czarowników, jeszcze z czasów wojen. Dlatego może nie ma tu dobrych i złych, wszystkie żyją przecież z zaklęć, przesączone nimi do szpiku kości. Specjalnie wybrały źródło nocy, w pobliżu niego nikt nie może osiągnąć pełnej jasności umysłu. Przebiegłe z nich stworzenia, wiedzą jak utrudniać życie, jak chować się, kamuflować, jak atakować z zaskoczenia. Widziałem je dużo razy w akcji. Chociaż są najbardziej nieznośne, to najczęściej się u nich dzieje. Wygoniłem je z niższego poziomu, bo narobiłyby tyle szkód, że trudno byłoby je naprawić. Są nieokrzeseane i niezmordowane w swoich poszukiwaniach. Bez ustanku eksplorują dostępne im tereny, otwierają każde napotkane wrota, bez pukania pchają się do środka. Trudno powiedzieć czy robią to z chęci psucia innym krwi, czy też kierują się wyższymi pobudkami, poszukiwaniem. Czynią przy tym tyle zamieszania, a na dodatek są wyjątkowo wredne, że trudno stanąć po ich stronie. Mają jednak takie same prawa co inni, a nie można ich po prostu zignorować. Zaglądam więc im do tego kotła, jeśli tylko mam złe przeczucia. A po ostatnim razie postanowiłem mieć się na baczności. Przeniosły się wtedy do trójwymiaru i stamtąd otwierały przejście powrotne. Nie potrzebują tego robić, więc samo to zaczęło mnie zastanawiać. Jedynym wytłumaczeniem był eksperyment, ale wiedźmy nie uprawiają takich eksperymentów. Jeśli znają jedno rozwiązanie problemu, nie szukają innych. Po co? Powrót jest dla nich naturalny, odbywa się bez żadnych zaklęć. Z resztą nigdy żadna wiedźma nie robiła takich rzeczy. Obserwowałem je więc z jeszcze jednego powodu: pierwszy raz miałem sposobność oglądać przejście między wymiarami, do tego z góry. Otwierały je powoli same zaglądając ciekawie do środka, ale gdy tunel był już gotowy one wymawiały dalej ciche litanie, gnieźdząc się jedna przy drugiej. Było ich tam dwanaście tworzących jeden z tych zaklętych kręgów, w ochronie przed przerwaniem obrzędu. Coś zaczęło mi świtać. Zaklęcia powtarzały się w zmienionej formie, przesunięte i bardziej rozproszone. Potem ściśnięte w jedno, by wbić się w całkowicie otwartą już drogę i uderzyć do góry, jeszcze wyżej, prosto we mnie. Tego było za wiele, może nie są w stanie nigdy przebyć tej granicy, ale sam pomysł był już poważnym wystąpieniem, co dopiero próba wcielenia go w życie. To musiało się skończyć reakcją i one, jak okazało się później były tego świadome. Pierwsze, co miałem ochotę zrobić to otworzyć tunel z mojej strony i cisnąć czymś prosto w nie, sparaliżować, zgnieść, upokorzyć na wieki. Ale one tylko na to czekały. Gdybym tak postąpił, wpadłbym prosto do kręgu, gdzie miałyby mnie w swojej mocy. Impulsywność nie zawsze szła w parze z rozumem, a wiedźmy, specjalistki od wykorzystywania słabych stron ludzkiej natury rozumiały to dokładnie. Dowiedziały się o moim pochodzeniu, jestem prawie pewny, i postanowiły to wykorzystać. Zostałem posklejany z ludzkich szczątków, mam w sobie ich krew, opiekuję się nimi jak własnym ludem, ale nie znaczy to, że odziedziczyłem wszystkie ich słabości i przywary. Jestem czysty, o wiele potężniejszy i przede wszystkim większy niż oni, a także niż wiedźmy. Nie mogą mi nic zrobić, a błąd jaki popełniłem był jedynym i nie zdarzy się już więcej.

Nigdy za wiele ostrożności. Domyślają się pewnie, że jestem tu, patrzę co robią. Ujawniłem wtedy swoją obecność, teraz więc mogą spodziewać się mnie na każdym kroku. Może dlatego wygląda to tak niewinnie, dwie wiedźmy gotujące coś w kotle. Czuję khwasadennhę, a to nie wróży nic dobrego. Zabroniona jest w niższych wymiarach ze względu na swoje właściwości. Potrafi rozbić umysł człowieka lub zwierzęcia na kawałki i mimo, że po kilku godzinach wszystko wraca do normy, to w tym czasie niektóre osobniki mogą dostrzec dziury i skorzystać z nich wlewając się wyżej, lub grzęznąć między wymiarami. Tak powstały wiedźmy, niektórzy szamani o wyższym stopniu, gahari i kilka innych gatunków. Niektóre dostojne i pełne wspaniałych cech, inne nastawione na żer w świecie ludzi. Piąty jest jednak za daleko od czwartego, w ten sposób nie można przebyć tej drogi. Właściwie nie można jej przebyć w żaden sposób. Nie ma takiej możliwości. Wiele rzeczy dzieli czwarty i piąty, może one o tym nie wiedzą, ale nie przeżyłyby tu długo. Choćby z powodu kompensacji przeżyć. Do czwartego odbywa się to nieświadomie, tylko korekcja przebiega na jawie, zawsze rano, u ludzi w półśnie, u nich niekoniecznie. Tu dzieje się to z pełną świadomością, co prawda nie ma zbyt dużych różnic, skoków nastrojów, czy nagłych wybuchów gniewu. Wszystko dzieje się powoli, dojrzewa zanim osiągnie pożądaną postać. Nie zawraca w pół drogi. Właśnie to pozwala na bezbolesną egzystencję bez środków wyrównujących. Ale wiedźmy osiągają przecież ogromne różnice poziomów. Musiały by zmienić tryb życia, ustabilizować go, lub rozpadłyby się po prostu na przeciwieństwa, kończąc swój bujny żywot. Czy wiedzą także to? Czy na to też mają jakąś złotą myśl? Jeśli tak, to bardzo chciałbym ją poznać. Biedne małe stworzonka tak bardzo chcące dostać się wszędzie, gdzie tylko się da. Jeśli spróbują zrobić to jeszcze raz wyślę je do diabła. Tam na pewno dobrze się nimi zajmą. A przecież mogę to zrobić, to też pięciowymiarowiec. Może o tym też wiedzą?

Zbliżam się i zaglądam do środka, bez dwóch zdań, to khwasadennha. Zdradzieckie wiedźmy, jeśli nie gotują tego dla siebie, to lepiej niech będą przygotowane na najgorsze. Nie można im pobłażać w nieskończoność. Jeśli spróbują skierować ją przeciwko mnie czy ludziom, nie będę się z nimi bawił. O jeden raz za dużo drogie panie, więc lepiej zastanówcie się czy warto jest to wszystko robić. Czy naprawdę macie tyle siły by stanąć do tej walki, by odnieść to zwycięstwo. Zastanówcie się co będzie dalej, czy wasz postępek minie bez echa, a może jednak ktoś wymierzy sprawiedliwość. Ile zyskacie, a ile możecie stracić. Źródło nocy, to bardzo sprytne. Przekonamy się czy wystarczy.

Nienawiść, wyrosła z zazdrości, karmiona poczuciem wielkości i władzy nad ludźmi jest podłożem tej zbiorowej świadomości, tej pasożytniczej kultury pielęgnowanej starannie, dającej możliwość osiągnięcia celu za wszelką ceną. Żerują bez cienia wątpliwości, jak szarańcze w niższym świecie, nie zastanawiając się wiele nad skutkami wpijają swoje zęby głęboko pod skórę i ciągną. Prowadzi je instynkt, on wyznacza cel, rozum zepchnięty jest na drugi plan. On układa zasadzki, otwiera zamki, pozwala wykonać zamierzone zadanie. To z nim staję do walki, chociaż kto inny zlecił tę robotę. Wiecznie głodne i nienasycone, pełne pogardy dla niższych gatunków, nigdy nie patrzące w oczy wyższym. Starannie ukrywające swoją wiedzę, gotowe bronić jej tajemnic, zatrzymać tylko dla siebie. One przeciwko mnie. Czym ja więc jestem? Pytanie warte zastanowienia. W oczach ich i moich. Stworem Frankenstein'a, zlepionym z milionów przeróżnych kawałków, bezcielesnym, a raczej niematerialnym, ale cały czas pozostającym tylko zbieraniną bezładnych części, niespójną formą nie będącą w stanie tworzyć zwartej całości, czy więc także nie dziurawą w linii swej obrony? Zwykłym śmiertelnikiem na tym poziomie, jednym z wielu, którego losy nie wpływają na losy całości? Zwierzątkiem w rękach innych i maskotką zgrzywającą boga dla niższych gatunków? Elementem bez którego

można się obejść? Czy też może jednak częścią pewnej całości, kołem w maszynie potrzebnym do jej prawidłowego działania. Choćby małym, ale niezbędnym, nie dającym się zastąpić, jedynym w swoim rodzaju. Zbitkiem osobowości tworzącym jeden większy organizm przerastający wszystkie te mniejsze razem.

Spoglądam na bulgoczącą powierzchnię wywaru, przenikam go wzrokiem, intuicyjnie rozwiązuję zagadkę. Niżej pod powierzchnią kwasadennych, w niższym świecie, zupełnie jak za pierwszym razem stoi dwanaście wiedzów złączonych w zakłętym okręgu, szepczących zaklęcia. Obraz nie jest wyraźny, rozmazuje się, pływa pokryty gęstą mazią wywołaną czarami. Nie jest też pełny. Wywar zdążył już poczynić pierwsze spustoszenia, wyżera dziury, gdzie mieszają się światy, elementy z których zbudowana jest materia przelewają się wąskimi strumieniami przez otwory tworząc połączenia i drogi nie dające się usunąć do końca w przyszłości. Wszystko to z czasem powinno zrosnąć się i zasklepić, ale nawet wtedy stosunkowo mała ingerencja potrafi odnowić ranę i stać się przyczyną powtórnego otwarcia drogi. Jest już kilka takich miejsc między trzecim i czwartym, a kolejne na pewno przysporzą następnych problemów. Cokolwiek więc robią jest to znowu szkodliwe i niepożądane, trzeba zareagować szybko i zdecydowanie, pokazać im swoje miejsce, skończyć z tymi wybrykami raz na zawsze, nawet gdyby miało to doprowadzić do zagłady gatunku. Wiedzmy - może także są kółkiem w maszynie, potrzebnym do jej sprawnego funkcjonowania, zastanawiam się chwilę, ale nie mogę zwlekać. Stąd nie widać, by były niezastąpione, jedyne w swoim rodzaju, niezbędne. Z tej perspektywy dostrzegam tylko małe szkodniki, którym podarowano kiedyś wiedzę mogącą zawrócić każdego ze złej drogi, zdolną do zaprowadzenia ich na sam szczyt, odkrycia zagadki wszechświata, zrozumienia zasad nim rządzących, a one zniszczyły ją odcinając sobie raz na zawsze drogę powrotu, wyrzekając się dobra, porządku, wybierając miast tego drogę chaosu, którą nawet najwytrwalsi gubią w końcu, by oddać się we władanie zwykłej zawiści i nie bacząc na skutki swoich działań stanąć przeciw całemu istnieniu, wypowiadając wojnę w imię wielkiego destruktora, który kiedyś nadejść musi, lecz nie jest to na pewno ten raz.

Czas już zdecydowanie wkroczyć do akcji. Rozkładam ręce gotowy zmieść je poza strukturę, gdzie zostałyby tylko martwym pomnikiem własnego gatunku, pamiątką ku przestrodze innych, jeszcze jednym czarnym punktem w otaczającej nas nicości, dostrzegalnym ze skrajów, budzącym lęk i nie pozwalającym zapomnieć. Bombarduję je tysiącem małych niedostrzegalnych igieł moich palców i dłoni, gniotę i rozrywam przestrzeń przekuwając kocioł, dziurawiąc źródło nocy. Czuję odłamki materii dostające się do mojego wnętrza, nie zważam jednak na te szczegóły, postanawiam doprowadzić sprawę do końca - raz na zawsze skończyć z tym problemem. Kwasadenna przenika moje ciało, nie obchodzi mnie to, nie dbam o nie, teraz mam tylko jeden cel. Jestem niby burza, porozumienie dziesięciu żywiołów sprzysiężonych by dokonać pomsty od tak dawna oczekiwanej. One stawiają opór, wzywają pradawne siły, krzyczą zaklęcia z czwartego i trzeciego wymiaru, zacieśniają krąg. Świat miesza się, przelewa przez wydrążone kanały, walka toczy się tak w strukturze, jak i poza nią. Równocześnie otwierają się nowe drogi, coraz większa część materii zmienia się, rozrasta lub redukuje, rozciąga i spręża, dzieli na mniejsze kawałki zaczynające żyć swoim własnym życiem, stanowiące o swojej przyszłości, formujące nowe kształty i idee: bezsprzecznie niezależne, opowiadające się po jednej ze stron, lub po prostu odlatujące gdzieś w dal w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłyby dać początek nowemu rodzajowi. Teraz jestem wszędzie: na każdym z poziomów, oddaję każdy cios, atakuję powoli zacieśniając węzeł wokół opuchniętej szyi, jestem węzłem, szyją, powietrzem, facetem idącym ulicą, nawet małą przestraszoną dziewczynką śniącą koszmary,

każdym przedmiotem, który wygląda niewinnie, a niesie ze sobą śmiercionośną truciznę. Jestem podwojeniem słowa odwracającym zaklęcia, przypadkowym błędem psującym całe posunięcie, istotą po drugiej stronie lustra.

Co może zdziałać tu ktoś tak marny jak one. Miotać się w szaleńczym tańcu, podskakiwać i pluć dokoła zatechłym jadem. Powoli popadać w obłęd, lub zdać się na los, którego teraz ja jestem wyznacznikiem. Czekać prosząc o litość, lub prowadzić tę nierówną walkę do końca, licząc na cud czy jakiś fatalny błąd, a może tylko dlatego by oddać życie z honorem, jeśli nie pozostała już żadna inna droga ratunku. Cztery jest zawsze mniejsze niż pięć, pięć niż sześć.

Jestem pod nimi, gdzieś na ludzkim osiedlu. Idę ulicą w kierunku metra, łowię ich odbicia w kałużach, czekam na ten jeden moment głodny strachu i prawdy. Skaczę, biję na oślep, rozrywam krąg, wpadam w sam środek źródła nocy. Stamtąd wydostaję się na powierzchnię. Widzę je z góry, te dwie, od których się zaczęło. Znowu spadam niżej, dopadam je, rozciągam kołem łamiąc stare kości. Jęk niesie się poza strukturę, grzęznąc tam na wieki. Jego część, odbita od skał zmierza w kierunku dziury wydrążonej przez kwasadenną, wciśnięta do środka przelatuje na drugą stronę. Teraz jest cieniem chowającym się za osiedlowym drzewem, wciągającym powoli całe miasto w swe rozległe sidła, wysysającym krew prosto z żył nocnych ofiar i zlizującym tą już zaschniętą z opustoszałych chodników i rosnącej obok trawy.

Oglądam się za siebie i widzę postać biegnącą przez las wśród martwych zwierząt. Czy to ja jestem tą postacią? Biegnę do przodu nie odwracając się za siebie, czas przyspiesza za każdym razem, gdy chcę się nad czymś zastanowić. Biegnę co tchu do miasta położonego w dolinie. Co one robią? Może tam znajdę rozwiązanie. To ten wywar, rozbija wszystko na kawałki, bez względu na pochodzenie. Jestem teraz wieloma istnieniami, zredukowanymi do trzeciego wymiaru. Pozwoliły sobie na zbyt wiele. Pożalują tego. Nie wiem co się im zdaje, ale dobiore im się skóry, a wtedy będzie z nimi naprawdę źle. Zobaczą co to znaczy zaczynać z silniejszym. Muszę się tylko pozbierać.

Przed oczami przepływa mi człowiek z wielką maszyną wciśniętą do małego mieszkania. Jest środek nocy i jego powieki opadają powoli otwierając drogę snom. Przedzieram się przez nieruchome powietrze w tamtą stronę, korzystam z każdego znanego triku, nawet tak prostego. Skaczę i odnajduję kolejną część siebie.

Stoję w sali tronowej wyłożonej wielkimi jajowatymi kamieniami odbijającymi blade światło, z oddali dolatuje mnie echo jej kroków. Siadam na tronie, czekam. Łamię kołem jej kości i chwytam drugą by zrobić to samo. Słyszę krzyk. Przelewa się między światami. Ma szary kolor, wpada prosto na małego chłopca skulonego w kącie pokoju. Znika za oknem.

Śnieg lśni w świetle osiedlowych latarni. Pomaga im chłopczyk z różdżką, to dlatego dzieją się te rzeczy. Kim jestem? Gdzie jestem? Wiem, wiem już, to nie tylko przestrzeń, to także czas. Zredukowały mnie i rozbiły przynajmniej na dwóch płaszczyznach. Kiedyś widziałem coś takiego, tylko że tamten koleś nie wyszedł z tego cało. Pamiętam: szamani przeciwko gahari. Pierwsza ofiara.

Później się nauczyli. Jak oni mo...

Zaglądam do kotła, bez dwóch zdań: to kwasadennha. Zdradzieckie więdźmy jeśli nie gotują tego dla siebie, to lepiej niech będą przygotowane na najgorsze.

Źródło nocy, to bardzo sprytnie. Tu czas płynie inaczej. Czy to wystarczy?

Dwóch mnie chwytają i rozrywa. Krzyk.

Idę ulicą łowiąc odbicia. Nie było deszczu, a jednak łowię odbicia.

Stoję nad brzegiem przepaści, patrzę w dół, cały spocony i oblepiony piaskiem.

Wyczerpujący był ten marsz wśród pustynnego krajobrazu. To przecież ponad

kilometr. Skaczę jeszcze raz.

Oglądam się. Widzę postać. Człowiek z maszyną. Nie dobrze. Za dużo tego. Zmysły. Słyszę coś, ale to nie jest mój wymiar.

Zbieram wszystkie siły, jakie posiadam w dosyć małym promieniu. Łączę pojedyncze istnienia w większą całość, gromadzę armię przygotowując się do uderzenia.

Uderzam.

Cztery wiedźmy rozsypują się w proch, dwie wpadają w dziurę wyżartą w strukturze. Jest mało prawdopodobne, że wyjdą z tego z życiem. Zostają jeszcze cztery. Zwracam się w ich stronę. Wymieniamy złowrogie spojrzenia. Przestrzeń skrzy między nami, ładunek zebrany w tak małej objętości musi w końcu znaleźć drogę ucieczki. Od nas zależy czy dobrze nim pokierujemy. Kto pierwszy sięgnie po tę broń. Ja.

Wyciągam rękę i składam ją jakby w miecz. Na końcu formuję ostry szpic, działo wypruwające ładunki zebrane po drodze. Ciskam tym przed siebie. Ostatnią rzeczą, jaką widzę jest ogromny błysk. Chwilę wcześniej dostrzegam ruch gdzieś z tyłu, lecz teraz oślepiiony nie mogę nic zrobić. Uchylam się nieco i popuszczam więzy. Szwy założone naprędce nie wytrzymują. Słyszę ich trzask. Rozpadam się na tysiące małych kawałków, osobnych istnień jakimi byłem wcześniej. Niektóre z nich są dokładnie takie jak przed wielu laty, inne posklejane i rozerwane teraz w inny sposób tworzą organizmy pierwszy raz powołane do życia, stykające się ze światem niby z zagadką: jedyną i na tyle potężną, by nigdy jej nie rozwiązać, może troszeczkę nadgryźć, lecz i to tylko w wyjątkowych przypadkach. Mam niewiele czasu, wkrótce nie pozostanie ze mnie wiele, prócz tych marnych kawałków próbujących na własną rękę rozwiązać tajemnice życia. Staram się przekazać im swoją wiedzę. Nie mogę obdarzyć nią jednego człowieka, musi być ich znacznie więcej. Nie chcę też rozdrabniać się, wtedy na pewno nie powrócę, by żyć, by zemścić się. Musi być ich kilku, takich którzy będą mieli szansę się spotkać i odkryć, że są częścią tego samego organizmu. Muszą też znać sposób na przywrócenie mnie z powrotem do życia. Muszą wykonać rozkaz mimo trudności, jakie napotkają. Zaczynam się znowu rozpadać. Cywilizacja musi zniszczyć samą siebie, koniec zawsze jest początkiem, wszystko wraca do pierwotnego stanu, odradza się na nowo, szuka lepszej drogi. Pamięta.

Czuję uderzenie, ale jestem za słaby aby oddać cios. Zamykam oczy, odlatuję w dół. Nie dam im tej satysfakcji, sam zakończę tę bitwę. Następny cios wpada w pustkę. Za sobą zostawiam tylko resztki wielkiego kotła, zdziwienie i wieczną niepewność. Dziury zasklepiają się powoli. Spadam dzieląc się na pojedyncze myśli i obrazy, szukam kryjówek.

Znów idę ulicą łowiąc odbicia. Stoję nad przepaścią. Biegnę do miasta w dolinie.

Powtarzam mantrę w ciemnym pokoju. Trudno będzie mnie znaleźć. Niech szukają.